

PARADYGMAT EUROPEJSKI I KOMPLEKS POLSKI

Najgorsze mamy już za sobą, to znaczy został odegrany długo zapowiadany akt ostatni, do którego prowadziły kolejne odsłony: przygotowujemy się do..., wchodzimy do..., jesteśmy w (chodzi o frazeologię, o chwytły językowy, których ustanowienie wydało się niezbędnym, aby podjąć tę tematykę w trybie publicystycznym...). Dlaczego również odwołuję się od razu do metaforyki teatralnej i będącej jej pochodną semantyki, o tym za chwilę. Zmieniła się sytuacja, nazwijmy ją umysłową, w tym sensie, że pewien proces, a więc jakość zmienna i dynamiczna, zakończył się dotarciem do celu i unieruchomieniem. Nastąpił długo oczekiwany i równie długo próbowany finał. Wykonano *Hymn do radości* do słów F. Schillera i muzyki Beethovena. Wymaganiom spektaklu stało się zadość. Poprzedzony został ów spektakl ogromną ilością dyskusji prowadzonych na różnych poziomach i w różnych dyscyplinach humanistycznych. Zaczną się teraz zapewne, czego się tylko domyślamy, następne fazy owego procesu, ale wiemy jeszcze o nich bardzo niewiele, prawie nic. Jesteśmy zatem w środku pewnej budowli mentalnej, która będzie wymagać innych zachowań i zadawać inne pytania. Może nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż podobny wylew dyskusji monotematycznych, burza mózgów, na dobrą sprawę pozbawionych wyrazistej konkluzji (bo takiej być nie mogło), miał miejsce, gdy wiek XX przechodził w wiek XXI. Dyskusje zostały zamknięte i jeżeli naprawdę stało się coś ważnego w tym układzie, to zadecydowała o tym data 11 września 2001 roku, a więc data stulecia obecnego, uznawana przez niektórych

historyków za właściwy jego początek (o czym wcześniejsi dyskutanci wiedzieć nie mogli w wielu sensach: że będzie miała miejsce, że zmieni układ sił umysłowych dość radykalnie, że rozpocznie proces nie nowy co prawda z nazwy, ale nowy w zawartości umysłowej: obrony przed obcym – najradykalniejszy jego przykład to publicystyka Oriany Fallacci; pamiętajmy zaś, iż „obcy” zamieszkują również współczesną Europę, zaś ich etniczna odmienność skonfrontowana z „prawdziwym” Europejczykiem zaczęła wzrastać po wydarzeniach amerykańskich. Historycy zresztą apelują, aby dać historii trochę czasu, bo tylko oddalenie od faktów żywych i aktualnych pozwala je sformalizować, to znaczy zdefiniować. Ale tendencja obecna jest taka, aby unieruchomić w formule proces, który dopiero co się zakończył. Zobaczmy zatem – tak proponuję – jakie są efekty owej krzątaniny. „Oddawanie czasu historii” wydaje się celnym sformułowaniem, może właśnie dlatego, iż historycyzm uważa się dziś za formę dekadentckiego, schyłkowego myślenia w poddanym innym rytmom XX stulecia.

Nie jestem profesjonalnym historykiem, ale pilnym czytelnikiem opinii historycznych i publicystycznych, zróżnicowanych, reprezentujących stan nadmiaru. Chciałabym je najpierw pokrótce zrelacjonować; jako historyk literatury, okolicznościowo jej krytyk (czy raczej krytyczka), a także adeptyka nieprofesjonalna historii idei spróbuję zastanowić się nad tym, jaki może być udział pisarza (a szerzej: twórcy współczesnego) w tym wielkim targu idei, programów i pomysłów, powołanym do istnienia na skutek przeorganizowania europejskiego organizmu, z Polakami w jednej z ról w tym spektaklu.

I

Europa Wschodnia została porwana przez Zachód już dwadzieścia parę lat temu. Stało się tak w słynnym eseju Milana Kundery¹, pisarza po-

¹ M. Kundera, *Zachód porwany czyli tragedia Europy Środkowej* (1984), polski

chodzenia czeskiego, który wyemigrował do Francji; pisze w języku francuskim i życzy sobie, aby nazywać go pisarzem francuskim czeskiego pochodzenia. Kundera ma teraz 75 lat i należał do słynnych dysydentów. Jako pisarz zmienił miejsce własnego usytuowania w literaturze w momencie, gdy przyjął jako swój inny język niż ojczysty. Ale nie nazywa siebie bynajmniej pisarzem europejskim, tylko pisarzem francuskim pochodzenia czeskiego, na co warto zwrócić uwagę (dodając, iż sukces Kundery jako Francuza jest o wiele mniej spektakularny niż jego sukces czeski, to znaczy książek napisanych w języku ojczystym, aczkolwiek to Francuzi przenosili je na ekran, a więc w sferę innego, bardziej uniwersalnego języka: mam na myśli film *Nieznosna lekkość bytu*, który w gwiazdorskiej międzynarodowej obsadzie wzbudził wielkie zainteresowanie masowej widowni europejskiej). To Kundera dał początek mitologii Europy Wschodniej (myślę oczywiście o literaturze), w czym wsparł go historyk zawodowy, Norman Davies, lokując serce Europy (*the heart of Europe*) w Pradze.

Powołaliśmy przecież do życia na polskich uczelniach nową, w naszych oczywiście uwarunkowaniach, naukę (jak G. Vico²) – jest nią europeistyka. Historycy i europeiści korzystają słusznie z tej szczególnej sytuacji powstawania w nowej wersji tematu „Europa a my”, zaś ich myśl zmierza w kierunku proponowania konstruktów o charakterze definicyjnym. Dlatego w moich refleksjach pojawia się na pierwszym miejscu określenie „paradygmat”, które zresztą mogłoby zastąpić na przykład słowo „kanon” bądź „wzór”. Wszystkie te trzy terminy mają w gruncie rzeczy na celu zarysowanie jakiegoś porządku w materii wciąż płynnej i jednocześnie wzburzonej: metafora rzeki wydaje się tutaj zupełnie na miejscu; na wzburzonych falach europejskości chcemy się utrzymać w głównym nurcie, nie dać się zepchnąć na mieliznę, nie pozwolić się unieruchomić w piaskach na brzegu, podczas gdy rzeka płynąć będzie dalej – ale już bez nas.

przekład ukazał się w „Zeszytach Literackich” 1984, nr 5.

² G. Vico, *Nauka nowa*, przeł. J. Jakubowicz, Warszawa 1966 [1723].

Bez nas – to znaczy, bez kogo? Polaków-artystów, Polaków-pisarzy, Polaków-polityków, Polaków-specjalistów od ruchu pieniądza? Chodzi więc o to, żeby zachować, a jednocześnie wyeksponować polską tożsamość i zainteresować nią publiczność szerszą niż krajowa.

W niezliczonych dyskusjach, o których tutaj wspomniałam, obrońcy uniwersalnej polskości zdawali się zapominać (być może podświadomie), iż niezależnie od faktu, że w Europie zawsze byliśmy, czego nikt nie zamierza kwestionować, w wieku XXI odmienny niż XIX-wieczny naród łączy się z inną Europą. W jednej z książek na ten temat (a także w naszym głównym źródle współczesnej informacji, czyli w internecie) znalazłam takie oto zdanie, które okazało się starym porzekadłem, najprawdopodobniej angielskim; oto ono: *Cash is fact, everything else is opinion*. Ludowe mądrości bywają czasem przydatne, chwyćmy się zatem tej właśnie (dla porządku: natrafiłam na nią również w książce Jana Prokopa *Polak jaki jest nie(ch) każdy widzi*³). Otóż zdanie to komunikuje nam, iż twarda rzeczywistość rynku i jego towarów, mniej lub bardziej pokupnych, jest tą właśnie przestrzenią wspólną, na której realizują się dziś wszelkie europejskie aspiracje: książka sprzedana jest książką dobrą; myśl kupiona jest myślą trafną. Pisarz czytany, to pisarz zakupiony. Jednak okazuje się w tym momencie, że w masowej demokracji nie da się uniknąć podziału na masowego konsumenta sztuki, kultury i literatury, i na konsumenta elitarnego. Być może jeden i drugi pragnie spożywać tylko potrawy wykwintne? Albo, aby podkreślić oryginalność, potrawy regionalne i swojskie? Bądź w południe kawior i szampan, a wieczorem bigos? Rozweselające relacje o sukcesach naszych pierogów na Grande Place w Brukseli (które dokładnie relacjonowała codzienna prasa) ukazują przestrzeń myślowej bezradności, chociaż ich cel był odmienny. Są te pozornie tylko publicystyczne sprawozdania efektem przemian na polu kultury, które, jak się okazuje, nie dadzą się załatwić pokazem

³ Por. J. Prokop, *Polak jaki jest nie(ch) każdy widzi. O rozchwianiu tożsamości na progu Europy*, Kraków 2004.

smakołyków z różnych dziedzin; są, być może, zapowiedzią zasadniczej zmiany dyskursów, jakie pojawiły się we współczesnym świecie, wchodząc w spór z tymi już istniejącymi, powoli tracącymi swoją przydatność.

Będę się odwoływała do książek rzadko, jak mi się wydaje, cytowanych w europejskich dyskusjach. Takich, które z różnych powodów, dzisiaj właśnie, w innym, maksymalnie zaktualizowanym kontekście, przemówiły do mojej uwagi i wyobraźni: postrzegam je zaś jako profetyczne, jako klaustrofobiczne, bądź jako otwarte na propozycje uzupełnień. To będzie relacja z lektury samowolnej i nieuporządkowanej, to będą wybrane opinie, o których mówi nam zacytowane już porzekadło. Fakty ekonomiczne, czyli „cash”, zostawiam, co zrozumiałe, na boku.

W roku 1932 Benedetto Croce, włoski filozof, estetyk, analityk myśli politycznej, kulturoznawca (tak byśmy dzisiaj powiedzieli), napisał *Historię Europy w XIX wieku*. Dzieło (które autor zadedykował Tomaszowi Mannowi) powstawało w momencie historycznym, gdy systemy faszystowskie znajdowały się w stanie zaawansowanego już rozwoju (Croce zresztą, sam skłaniający się ku lewicy, trafnie, jako jeden z pierwszych tego formatu europejskich myślicieli, zauważył uderzające analogie pomiędzy faszyzmem i komunizmem).

Zamykając historię Europy XIX-wiecznej, Croce wskazał możliwą dalszą drogę Europy wieku następnego, w którym on sam przecież żył i właśnie pisał swoją książkę. Mówiąc o narodzinach nowej świadomości narodowej i podnoszeniu lokalnej tradycji na wyższy poziom, konkludował:

„Francuzi, Niemcy, Włosi i wszyscy inni staną się Europejczykami, myśli ich kierować będą się ku Europie, a serca bić będą dla niej, jak przedtem były dla mniejszych ojczyzn, które nie popadną w zapomnienie, lecz będą mocniej kochane... Proces jednoczenia się Europy (...) dąży do uwolnienia jej od całej psychologii związanej z nacjonalizmem (...). I jeśli coś takiego będzie mieć miejsce lub kiedy mieć

będzie miejsce, wtedy ideał liberalny odrodzi się w duszach ludzkich i przejmie nad nimi władzę. Ale nie należy sobie wyobrażać odrodzenia się tego ideału jako powrotu do dawnej sytuacji, jako jednego z tych powrotów do przeszłości, o których snuł marzenia romantyzm (...). Pojawią się nowe klasy polityczne złożone z innych ludzi”⁴.

Zachowa też – wedle opinii Crocego – władzę nad umysłami ludzkimi warstwa klerkowska, „mała respublica literaria”, której aktywność choć ograniczona, pełnić będzie funkcję stymulującą wolność, umysłu. Ta przepowiednia w dzisiejszym świecie o tyle zasługuje na uwagę, że dotyczy kręgu, który już w latach 30. postrzegany był jako nieliczny, ale – promieniujący wysoką jakością umysłową. Problem owej jakości intelektualnej (a z nim stosunek do klerkizmu) zmienił się wraz z kulturą masową i wpływ klasycznych humanistów na kształt życia społecznego, wbrew sugestii Crocego, nie wydaje się nazbyt wielki. Mała republika literacka, życie na wyspach to współczesny los artystów różnych specjalności, o którym oni sami już wiedzą, chociaż nie zawsze się do tego przyznają. Bo-wiem marzenia o uniwersalizmie, niegdyś prostodusznie nazywane marzeniami o sławie (wcześniej o rządzie dusz), rzadko artystów opuszczają.

Historyk piszący historię Europy od jej początków po współczesność, który zasiadł do swojego dzieła mniej więcej pół wieku po Crocem, Norman Davies, zaopatrzył ją podtytułem „rozprawa historyka z historią”⁵, zaś otworzył przypomnieniem „jednej z najszacowniejszych legend świata antycznego”. Podróż mitologicznej Europy z rodzinnej Fenicji na Kretę, która prowadziła drogą słońca – czyli ze wschodu na zachód – jeśli patrzeć na nią jako na legendę właśnie, oznaczała, iż na Zachodzie oczekiwało „Nieznane”. Nowa Cywilizacja

⁴ B. Croce, *Historia Europy w XIX wieku*, przeł. J. Ugniewska, Warszawa 1998, s. 347.

⁵ N. Davies, *Europa. Rozprawa historyka z historią*, Kraków 1998.

miała otrzymać imię porwanej dziewczyny (która wedle dostępnych przekazów była matką Minosa, króla Krety). Zaczynając monumentalną historię Europy od tej legendy (mającej przecież dzisiaj walor przede wszystkim mitologiczny), autor kończy ją rozdziałem *Divisa et indivisa*, którego datą ostatnią jest rok 1991, ale na samym już końcu dodaje akapit zdecydowanie literacki i równie zdecydowanie prywatny. Historycy profesjonalni zapewne go opuszczali podczas lektury, ja go zacytuję, skoro bowiem znalazł się w tej książce, mogę się nim posługiwać w swoim, że tak powiem, celu. Zanim go jednak przytoczę, oto opinia Daviesa na temat roli, jaką otwarcie granic europejskich odegrało w otwieraniu się umysłów (używam formy częstotliwej, bo to proces nie zakończony):

„(w roku 1991 p.m.) młodzi ludzie byli za młodzi, żeby pamiętać generała Franco lub marszałka Tito. Trzeba było dobiegać trzydziestki, żeby móc sobie przypomnieć de Gaulle’a lub Praską Wiosnę; pięćdziesiątki – żeby pamiętać powstanie na Węgrzech (...); sześćdziesiątki – żeby móc przywołać na pamięć moment zakończenia drugiej wojny światowej. Prawie nikt, z wyjątkiem emerytów, nie mógłby już sobie dokładnie przypomnieć, jak wyglądała przedwojenna Europa. Trzeba było mieć dziewięćdziesiąt lat, żeby móc przywołać jakieś żywsze wspomnienie z czasów pierwszej wojny światowej. Człowiek, który pamiętałby owe złote dni schyłku XIX wieku poprzedzające nadejście wielkiego kryzysu w Europie, musiałby liczyć sobie sto lat”⁶.

Nie ulega kwestii, iż pamięć jest ograniczona czasem życia. Davies wymienia swój przykład takiego „szczęśliwego” człowieka: hrabiego Edwarda Raczyńskiego (1891-1993). Polska literatura wciąż ma takiego człowieka: był nim Czesław Miłosz, urodzony w roku 1911, zmarły w sierpniu 2004 roku. Ale jego ostatnie teksty, gdzie przywołuje niewyraźne wspomnienia początku stulecia, teksty o szczęściu wła-

⁶ *Ibidem*, s. 1204.

śnie, nie są wyznaniem literackimi mówiącymi o pamięci historycznej. Miłoszowska Europa początku XX wieku mieściła się na małym skrawku ziemi⁷, gdzie niegdyś znajdował się dwór jego przodków i miejsce dzieciństwa, które, paradoksalnie, zostało przez historię oczyszczone z historii. Nie zostało w tym miejscu nic, co by historię przypominało. Zniknął dwór, zabudowania, park. Pamięć poety nie chciała na nowo powołać do życia historii; albo inaczej: powrót do historii własnej i do historii stulecia zmienia się nie tyle w powtarzanie „dziedzictwa frazesów”, ile w ekstatyczny akt admiracji natury, która przetrwała historię niszczącą. Wiedza o historii została pokonana przez „światoodczucie”.

Prywatny wymiar paneuropeizmu historyka jest nieco inny: Norman Davies pisze o sobie i swojej rodzinie co następuje (notatkę datując na rok 1992, czyli datę ukończenia dzieła):

„Rodzinne powiązania tego domu obejmują pół Europy. Z jednej strony silne więzy łączą go z tą odległą od lądu wyspą, z hrabstwem Lancashire – i sięgając dalej wstecz – z Walią. Z drugiej strony – jego korzenie tkwią w ziemi wschodniej części dawnej Polski, która większość minionego wieku przepędziła albo w austriackiej Galicji, albo w związku radzieckim. Pan i pani tego domu – odebrawszy wykształcenie jedno w Oxfordzie a drugie w Krakowie – spotkali się po raz pierwszy przy bulwarze Gergovie w Clermont-Ferrand, rodzinnym mieście Blaise Pascala, któremu pewnie spodobałoby się to zdanie o tak nieskończenie małym stopniu prawdopodobieństwa. Takie doświadczenia nie mogą wyrzucić wpływu na poczucie historii. Pisaniem historii rządzi czas i miejsce. Historyk musi być częścią swojej historii”⁸.

Można by tutaj wyrazić pewien sceptycyzm, będący, co brzmi paradoksalnie, konsekwencją optymizmu Normana Daviesa; jego

⁷ Por. Cz. Miłosz, *O podróżach w czasie*, Kraków 2004.

⁸ N. Davies, *op. cit.*, s. 1206.

przypadek osobisty (małżeństwo Polki i Anglika) nie musi wiązać się z „paneuropeizmem”, choć, być może, on między innym skłonił go do napisania monumentalnego dzieła o Europie. Taka świadomość – wywodząca się z historii rodzinnych – dysponuje większą ilością dowodów pisanych. Wymienię tylko jeden tytuł: *Europę w rodzinie* Marii Czapskiej⁹, ewokującą w dalszych kontekstach historię rodziny Woźniakowskich, i ostatnie jej działające w dynamice europejskiej ogniwo, czyli panią Różę Thun, rzeczniczkę europejskiej unii (córkę Jacka Woźniakowskiego, historyka sztuki, znawcy gór, nestora rodu). Nawiasem mówiąc, gniazdo rodzinne przetrwało i wciąż można je kontemplować na zakopiańskim Kozińcu.

W świadomości polskiej do niedawna funkcjonowało pojęcie paradygmatu, dziś już powiedzieć można, iż charakter jego był restrykcyjny i dlatego, między innymi, musiał odejść do szacownych zabytków historii myśli i idei. Opisała go i skonstruowała z fragmentów literacko-narodowej świadomości Maria Janion i podtrzymywała przy życiu przez wiele dziesiątków lat. Ten paradygmat romantyczny złożony został, przypomnijmy, z naszych patriotyczno-niepodległościowych punktów stałych: Polak i literatura polska były rozpoznawalne poprzez romantyczne stygmaty: walki podziemne, spiski, wygnania, zsyłki, a więc przez całą tę łatwo rozpoznawalną dla lekarza „gorączkę romantyczną”, przemienioną w zasób tematyczny wielkiej literatury i mniejszej literatury – o romantycznym wszakże rodowodzie. Ale ta sama uczona, po odzyskaniu niepodległości, ogłosiła koniec paradygmatu. Mówiąc o przyczynach owego wygaśnięcia, pośród powodów, aby tak rzec, anegdotycznych, wymieniła następujący fakt: już żaden cudzoziemiec i przyjaciel Polski, wysiadając w Warszawie z pociągu czy samolotu, nie każe się zawieźć taksówkarzowi pod Cytadelę. Maria Janion mówiła w jednym z wywiadów prasowych, aczkolwiek pośrednio i aluzyjnie, o zmierzchu ery solidarności, lecz to problem inny. Ale odkrywczy pomysł na polskość w Europie nie

⁹ M. Czapska, *Europa w rodzinie*, Warszawa 1989.

wypełnił, jak dotąd, tego wystygłego już w umysłach przyjaciół Polski miejsca. „Zmierzch paradygmatu – i co dalej”, zapytuje Teresa Walas w książce *Zrozumieć swój czas*¹⁰. Opisując szczegółowo budowanie, utrwalanie, korozję i ostateczną, jak się wydaje, niwelację tego paradygmatu, autorka pozostawia polskiej kulturze postkomunistycznej wątlą nadzieję zmartwychwstania; nie podejmuje się jednak, i słusznie, prognozować umysłowej aury, jaka takiemu ożywieniu musiałaby sprzyjać. Spróbujmy zatem oddać jeszcze raz głos rodzicielce paradygmatu. Maria Janion w artykule *Rozstać się z Polską?*¹¹ powtarza, iż niegdyś przemienność romantyzmu i pozytywizmu „ratowała nas”. Młoda literatura nie znajduje już w tej przemienności żadnej dla siebie wzmacniającej pożywki, wręcz przeciwnie, jej relikty budzą w niej niechęć i sprzeciw (tak ustawia i czyta Janion młodych pisarzy: Dorotę Masłowską, Wojciecha Kuczoka, Michała Olszewskiego i innych). Nie potrzebują już oni patriotycznej stymulacji: wystarcza im linia własnej współczesności, zapewne pokrętna, ale wolna od historycznych reliktyw.

Odrodzenie polskiej kultury bez romantycznego paradygmatu może się dokonać, wedle Marii Janion dzisiejszej, w takim momencie, gdy da się z pewną stanowczością orzec, iż Polacy zrzucili z siebie postkolonialne brzemie, albo inaczej: rosyjski (czy raczej antyrosyjski?) kompleks. W książce *Polska przedmurzem Europy* Janusz Tazbir przypomina następujące słowa Maritaina, skierowane niegdyś do Józefa Czapskiego: „Twierdzicie, że jesteście przedmurzem chrześcijaństwa, a z drugiej strony uważacie Rosjan za pół-ludzi, macie dla nich głęboką pogardę”. Janion uważa ten sąd (powtarzam go za jej artykułem) za dalej aktualny, postulując stanowczo przepracowanie polskiego stosunku do Rosji. Czy to się da zrobić? Jeśli tak – mentalna polska droga do Europy stanie się traktem pozbawionym pułapek. Jeśli oczywiście w ich miejsce nie pojawiają się nowe – mające źródło w nowych nacjonalizmach...

¹⁰ Por. T. Walas, *Zrozumieć swój czas. Kultura polska po komunizmie*, Kraków 2004.

Szukajmy dalszych rozwiązań. Można by, zachowując pojęcie esencji polskości, zrezygnować z paradygmatu. Tak czyni na przykład Mieczysław Porębski¹², wyodrębniając dystynktywne polskie sytuacje i polskie przestrzenie: księgi, krajobrazy i obrazy. Jeśli jednak możemy założyć, iż obrazy kapistów i kolorystów przyciągną uwagę europejskiego krytyka sztuki, gorzej będzie w przypadku Matejki, Siemiradzkiego czy nawet Malczewskiego, eksponowanego niedawno w Paryżu z sukcesem – jak można było przeczytać we francuskiej prasie – raczej miernym. Polskie księgi – Mickiewicz, Sienkiewicz i inni – swoim wyobraźniowym uniwersum nie przemówią do europejskiego czytelnika (choć zostały przełożone na europejskie języki...).

Wydaje się, jak sądzę, iż Mieczysław Porębski, krytyk i teoretyk awangardy, widzi „polskość jako sytuację” nade wszystko taką, jaka utrwaliła się w polskiej tradycji. Tymczasem zaś europejska akceptacja, zupełnie niedawna, polskiego formizmu i konstruktywizmu w malarstwie międzywojennym – mam na myśli malarstwo Leona Chwistka – świadczy o znamienym przesuwaniu akcentów w paradygmacie „polskości”; staje się on silniej nasycony „dwudziestowiecznością” niż „dziewiętnastowiecznością”, co w literaturze dokonało się już wcześniej: Schulz, Witkacy, Gombrowicz, dobrze osadzeni w europejskim kontekście, świadczą na korzyść tego mniemania. Gombrowicz przez młodych czytelników francuskich uważany bywa często za pisarza francuskiego...

Problem leży więc zapewne jeszcze gdzie indziej. Zbudowanie kanonu czy paradygmatu we współczesnej europejskiej kulturze wydaje się szczególnie trudne, żeby nie powiedzieć: niemożliwe, ze względu na kultury owej fragmentaryczność i rozproszenie, wcześniej nazywane też pluralizmem. Przytaczam teraz dwa skrajne przykłady: Janusz Tazbir, historyk, posługuje się określeniem „sklejanie Europy”¹³

¹¹ M. Janion, *Rozstać się z Polską?*, „Gazeta Wyborcza”, 2-3 październik 2004.

¹² M. Porębski, *Polskość jako sytuacja*, Kraków 2002.

¹³ J. Tazbir, *Sklejanie Europy*, „Tygodnik Powszechny”, maj 2004, nr 183.

w odniesieniu do aktualnej sytuacji zmian w organizmie europejskim. Uważa zresztą, iż Europa jako całość polityczna nigdy nie istniała. Nawet imperia: rzymskie, hitlerowskie, stalinowskie nie opanowały jej i nie podporządkowały sobie totalnie, choć było to ich zamiarem. Natomiast – według Tazbira – do europejskiej wspólnoty cywilizacyjnej polska elita intelektualna należała od średniowiecza. Erazm z Rotterdamu pisał o Polakach jako o braciach, „bo od jednego Boga krzczęni”, ale ciekawsze jeszcze wydaje się to, iż z dzieł Kanta przetłumaczono na język polski najpierw (to znaczy w roku 1796) memoriał filozoficzny *W sprawie pokoju wieczystego*, w nim zaś opinię, że „żadne państwo nie śmie mieszać się przemocą w ustrój i rządy państwa drugiego”. Przykład drugi: Maturzystka *anno domini* 2004 zapytana przez dziennikarza „Gazety Wyborczej”, jaki chętnie by widziała temat maturalny z literatury polskiej, odpowiada, że i tak, bez względu na zakres owego nie znanego jeszcze tematu, będzie pisała o Europie, bo „wszystko da się podciągnąć pod Europę”. Sklejanie i podciąganie to czynności – tutaj kolokwialnie nazwane – które mogą zyskać swoje odpowiedniki w innym, teoretycznym języku. Sklejanie oznaczać może na przykład powrót do tradycyjnych kategorii myślenia o Europie (skoro elementy układanki są już gotowe i trzeba je na powrót ustawić w odpowiednich miejscach), natomiast podciąganie do Europy wszystkiego, co się da, mówi nam bez wątpienia o tym, iż w pokoleniu ludzi młodych zaczyna się budować strefa pamięci nowa i inna. To, co będzie ich własnym doświadczeniem europejskim, w mglistym oddaleniu przechowa szczątki pamięci hrabiego Raczyńskiego. Będą dla niego historią, ale nie ich Europą. Bowiem nowe pokolenia wyrastają w Europie zobowiązań i ładu ekonomicznego. „Pieniądz jest faktem – reszta to tylko opinie” – raz jeszcze przypominam powiedzenie, które już cytowałam. Wydaje się, iż surowa etyka Weberowska, związana z kapitalizmem, pracą i bogaceniem się, odtworzyć się już nie da. Zasada przyjemności, jaką realizuje się za pomocą odpowiednich środków materialnych anulowała esencję etyczną pojęcia pracy.

Oczywiście przechowany zostanie zasób europejskich mitów i symboli (wielkie narracje mitologiczne nie mogły przecież zginąć bez śladu). Nie wiadomo, czy nasze się w nim znajdują, jeśli na przykład w książce znanego dziennikarza włoskiego, Luigi Barzini, zatytułowanej *Europejczycy*¹⁴, opublikowanej w Polsce w roku 2001, Polaków pośród narodowości europejskich, w przededniu poszerzenia wspólnoty, wcale nie ma (tak samo jak innych narodów słowiańskich). Są oczywiście (cytuję tytuły rozdziałów): Niewzruszeni Brytyjczycy, Zmienni Niemcy, Kłótniwi Francuzi, Elastyczni Włosi, Ostrożni Holendrzy, Niepokojący Amerykanie (ten ostatni przykład daje do myślenia i dyskusji). Nietrudno odnaleźć w tym wyliczeniu nawiązanie do *Listu otwartego do Europejczyków* Denisa de Rougemonta opublikowanego w roku 1970. Ale początkowa apostrofa owego listu – wyliczenie przedstawicieli europejskich narodów – Polaków jednakowoż zawiera, zaś de Rougemont za „ideę Europy” uważa wypracowywane form „działania twórczego”. W takiej propozycji umieścić wolno również działania *stricte* artystyczne¹⁵.

W sferze symbolicznej pouczająca wydaje się przede wszystkim historia witraża europejskiego w katedrze w Strasburgu, przerzucająca jak gdyby pomost pomiędzy kobietą porwaną – Europą z mitologii jakby nie było pogańskiej – i Matką Boską. Cała ta fabuła – bo czytam tę historię jako opowiadanie – zaczyna się dla Europy współczesnej w roku 1953, kiedy to powstał Komitet Witraża Europejskiego, mający na celu doprowadzenie do odbudowy zniszczonej podczas bombardowań w roku 1944 szczytowej części ołtarza, która przedstawiała właśnie Matkę Boską; teraz, po rekonstrukcji, jest to Matka Boska opiekunka Strasburga otoczona dwunastoma europejskimi gwiazdami na niebieskim tle, zatem symbol Europy związany jest z kontekstem maryjnym. Historia jest długa i przypomina opowiadanie. Organizacja

¹⁴ L. Barzini, *Europejczycy*, przeł. H. Jankowska, Warszawa 2001.

¹⁵ D. de Rougemont, *List otwarty do Europejczyków*, przeł. A. Olędzka-Frybesowa, Warszawa 1995.

konkursu na nowy projekt ołtarza, przebieg pracy jury, poprawki do projektu, który został wybrany do realizacji (jego autor, Max Ingrand, ur. 1908, zm. w roku 1969), wreszcie projekt ceremonii odsłonięcia witraża. Biskup Strasburga osobiście uczestniczył we wszystkich korrektach związanych z jego renowacją. Odsłonięcie nastąpiło w roku 1956, zaś punkt ostatni wielkiej, ceremonialnej uroczystości został zamknięty słowami: „Potem wielki znak się ukazał na niebie: Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie księżyc z gwiazd dwunastu (*Apokalipsa* 1 wers 12 rozdziału); odsłonięcie witraża przy fanfarach i śpiewie; biskup święci witraż; chór śpiewa *Salve Regina*; przedstawiciel rządu oficjalnie przejmuje dar; biskup intonuje *Te Deum*; goście opuszczają świątynię przy dźwiękach organów”¹⁶.

Opis ukazuje wyraziście przestrzeń symboliczną europejskiego myślenia: elementy chrześcijańskie są jej głównym organizatorem, odwołuje się ono do emocji, nie do racji, do religijnych przekazów o wielkiej sile (*Apokalipsa*), których trwałość w czasie ma zapewnić spójność europejskiego organizmu. Opis ten posiada również wyrazisty walor literacki, bo obrazy i motywy apokaliptyczne tworzą literacki również, nie tylko cywilizacyjny i religijny sposób opisywania wspólnoty europejskiej.

Kościół międzyludzki – ten ze *Ślubu* Gombrowicza – mógłby zostać odegrany (jako sztuka teatralna) właśnie w strasburskiej katedrze.

II

Jak się ma do tych rozważań, niekompletnych, anarchicznych i apodyktycznych, rzeczywistość literacka? Rzeczywistość, czyli obszar dzieł napisanych, ale również nie napisanych, wirtualnych, zawsze jednak będących emanacją konkretnej podmiotowości, kpi sobie z para-

¹⁶ Cyt. za: K. Kowalewski. *Europa: mitv. modele. symbole*. Kraków 2002.

dygmatów. Nie ustrzega się bynajmniej kompleksów, bowiem władza pisarzy nad ich głębokim *ego* zawsze była i jest ograniczona. Zacznę od wiersza starego poety, od wiersza, nie waham się powiedzieć, Mistrza, napisanego w roku 1987 i zatytułowanego *Le Transsylvanien* (*nota bene* jeden z pierwszych nowoczesnych, Blaise Cendrars, poświęcił ekspresowi transsylvanickiemu cały poemat...):

„Koleją Transsylvanicką jechałem do Krasnojarska
Z nianią Litwinką, z mamusią, dwuletni kosmopolita,
Uczestnik przyobiecanej europejskiej ery.
Tatuś polował na marale w Sajańskich górach
Ela i Nina biegały po plaży w Biarritz...”

Tak, to działo się w 1913 roku, Czesław Miłosz dysponował jeszcze ową bezcenną pamięcią, o której pisał Norman Davies. Wtedy ubiegłe stulecie uważano za uwerturę do prawdziwie europejskiej, a nawet kosmopolitycznej epoki.

„Francuskie romanse w złotych okładkach były czytane nad Dunajem i Wisłą, Dnieprem i Wołą. Żniwiarki Mc. Cormick chodziły po polach Ukrainy. (...) Paryska bohema uczyła się zagadkowej duszy słowiańskiej z Ballets russes i powieści Dostojewskiego. Co raz to któryś wyrafinowany poeta z Wiednia pielgrzymował do Moskwy, świętego miasta, żeby tam słuchać dźwięku dzwonów. Towarzystwo wielu krajów spotykało się latem u wód w Marienbadzie, albo na lazurowym wybrzeżu, rodziny wysyłały swoich suchotników do sanatoriów w Davos. (...) Toteż stawiając w Petersburgu nogę na stopniu pierwszego zobaczonego samochodu błyszczącego czarnym lakierem, a następnie przekraczając Ural, byłem w harmonii z duchem czasu”.

„Dwuletni kosmopolita” – to bynajmniej nie miało być sformułowanie ironiczne, raczej potwierdzające określony status, pozytywne, jak sądzę. Dzisiaj słowo to w takim zabarwieniu prawie wyszło z użycia zastąpione przez uniwersalizm często kontrastowany (na zasadzie

konfliktu) z partykularyzmem. Ale pięknie było czuć się „kosmopolitą” u progu nowej ery, oznaczającej jednocześnie upadek imperiów. Znakomita *Kronika* Miłosza nie tylko afirmuje kosmopolityzm (bo granice owej republiki kosmopolitycznej były o wiele szersze niż następującej po niej republiki klerków, czy nawet Croceańskiej *respublica litteraria*), ale łączy się w tym opisie status mentalny kosmopolity z uniwersalizmem jako atrybutem każdej indywidualności. To połączenie, choć warunkowane tekstem literackim, który ma inne jeszcze własne prawa, chciałabym mocno podkreślić. Mieszkańcy tej samej europejskiej ery (zapowiadanej dopiero, ale tak naprawdę już istniejącej...) mogli o sobie powiedzieć (za Miłoszem), że czują to samo i inne. Dosłownie: „I może uniwersalność naszych doznań, tak duża dlatego, że jesteśmy częścią tego samego ludzkiego rodu...”

„Piętnastoletnia Ela staje przed lustrem naga i wyłącza się ze wszystkiego, czego ją nauczono: dygnięć, ukłonów, zachowań przy stole, guwernantek, wagonów sypialnych, kobiet w gorsetach i tiuniurach, katechizmu, listy grzechów przed spowiedzią, lekcji muzyki, francuskich słówek, grzeczności wobec służby, wiedzy o swoim posagu... Olśnienie: to wcale nie tak, bo naprawdę zupełnie inaczej... Jak dobrze jest... we własnym ciele (...) czuć to samo inne”¹⁷.

Mamy więc kodeks zachowań europejskich i jest ciało bez tego ubrania. Kodeks jest obowiązujący, ciało jest indywidualne. Znajdujemy się oto w sferze Gombrowicza, w zakończeniu sztuki *Operetka*. Naga Albertynka znaczy tyle samo co naga Ela z *Kronik*. Pozbycie się stroju jest gestem trudnym i ryzykownym. Jest oczywiście metaforą, która przeczy wartościowości naszych uświęconych, narodowych wyróżników. Jest pozbyciem się kompleksu i buntowniczą kpina z paradygmatu (i tego, który się skończył, i tego, który chcemy obecnie na nowo wymyślać). Ten rytualny gest zrzucenia ubrania – jako temat

¹⁷ Wszystkie cytaty Miłoszowskie pochodzą z tomu *Kroniki*, zaś wiersz z wydania *Wiersze*, Kraków 1986, t. II, s. 363.

poetycki – pojawia się w twórczości Miłosza dość późno. Poprzedza go zaś postawa i gest zgola inne: ukrycia, zatajenia, wstydu przed partykularzem, który, jak się będzie miało okazać, da się wykorzystać jako miejsce silne, a nie słabe twórczości. To bardzo znany wiersz zatytułowany *Rue Descartes*:

„Mijając ulicę Descartes
Schodziłem ku Sekwanie, młody barbarzyńca w podróż
Onieśmielony przybyciem do stolicy świata.
Było nas wielu, z Jass i Koloszwaru, Wilna i Bukaresztu,
Saigonu i Marakesz
Wstydliwie pamiętających domowe zwyczaje
O których nie należało mówić tu nikomu...

.....
Znowu opieram łokcie o szorstki granit nabrzeża
Jakbym wrócił z wędrowki po krajach podziemnych
I nagle zobaczył w świetle kręcące się koło sezonów
Tam gdzie upadły imperia, a ci co żyli, umarli
I nie ma już tu i nigdzie stolicy świata...”

(1980)

Słowo „wstyd” otwiera się ku słowu innemu: „kompleks”, choć wstyd przecież nie musi być równoznaczny z kompleksem, zaś epitet „polski” z kompleksem z kolei nie współwystępuje na zasadzie automatyzmu myślowego. A jednak w jakimś momencie pisarze zaczęli go używać. Skądinąd ciekawym zabiegiem byłoby odtworzenie tych innych, nieznanych nam przecież kompleksów przybyszów z Saigonu czy Marakeszu. Oczywiście, uzbrojeni w postkolonialną wiedzę możemy się ich z grubsza domyślać: ale to impuls pozytywny kierował ich wówczas ku stolicy świata, co miało się zmieniać wraz z upływem stulecia. Za wstydem kryło się przecież oczekiwanie na akceptację.

Gombrowicz, jak wiadomo, napisał dwie przedmowy do *Trans-Atlantyku*: jedną do wydania emigracyjnego, drugą do pierwszego wydania krajowego, które mogło się ukazać po październiku 1956. Ab-

strahując tutaj od wynurzeń i konstatacji pisarza dotyczących formy tego dzieła, przytoczymy fragmenty owych wstępów, tak dobrze znanych gombrowiczologom, że ich sens pierwotny uległ, jak myślę, znamiennej zatarciu. W roku 1953 Gombrowicz pisze:

„Byliśmy my, Polacy, częstkami tworu za słabego, aby żyć naprawdę, dość silnego jednak, aby upierać się przy życiu (przed wojną, p. m.).

(...) Jeżeli w *Trans-Atlantyku* daje się słyszeć pewien niedopuszczalny dotąd ton w stosunku do Polski – niechęć, lęk, szyderstwo, wstyd, – to dlatego, że utwór pragnie bronić Polaków przed Polską (...) sprawić, aby Polak nie poddawał się biernie swojej polskości, ale właśnie potraktował ją z góry. Co to znaczy konkretnie mówiąc Polska? Polska to nasze życie zbiorowe, tak jak się ono urobiło w ciągu wieków (...).”

O sztuce zaś i literaturze:

„Istnieje w sztuce pewien zasadniczy postulat, który jest moralnością artysty: dzieło nie może, nie powinno być gorsze od twórcy. (...) I postulat drugi: »Powinniśmy byli tak się urządzić psychicznie, aby być jednocześnie w narodzie i poza narodem, a nawet ponad narodem. Poza i ponad – aby móc stwarzać sobie naród na obraz i podobieństwo nasze...«.”

Takie stanowisko przeczy, jak widać jasno, wszelkiej paradygmatyczności polskiej literatury, pojmowanej również jako obowiązek. Gombrowicz powiedział to już wtedy, gdy Maria Janion z mozołem, ale też głębokim przekonaniem ów paradygmat rekonstruowała i konstruowała jednocześnie, nie podejrzewając nawet możliwości jego anulacji.

W przedmowie do krajowego wydania *Trans-Atlantyku* pada ważne dla mojego rozumowania słowo: „Zbyt silny jest w nas dotąd ten kompleks polski i zbyt obciążeni jesteśmy tradycją”.

Konsekwencją tej formuły będzie zdanie: „*Trans-Atlantyk* nie ma żadnego tematu poza historią, która opowiada (jest tylko mną, moim wyładowaniem, moją egzystencją”¹⁸.

„Wszystko wymyślone” – a więc nie jest to ani prawdziwa Argentyna, ani prawdziwa kolonia polska w Argentynie. *Trans-Atlantyk* jest „nagim tekstem”, którego marginesy, jeżeli nam autor przyzwoli, możemy zapelniać własnymi komentarzami. My i każdy inny czytelnik. I dlatego właśnie, że książka ta jest ekspresją Gombrowicza, a nie polskości – osiągnęła ona europejskie zrozumienie (pośród młodych czytelników francuskich panuje dość powszechne mniemanie, iż Gombrowicz był pisarzem francuskim – nie myślę oczywiście o zawodowych literaturoznawcach...).

Jeden z badaczy nazwał tę powieść „księgą lęków polskich”, zaś przeżywanie polskości w aurze lęku (kompleksu) daje jednakowoż pozytywny wynik artystyczny: owa „polskość esencjonalna” pomaga stworzyć nowy typ nazwany *homo transcendens*¹⁹. Zatem, aby to powiedzieć w manierze Gombrowicza, polskość daje polskości w pysk (lub w gębę) i tym samym staje się uniwersalna. Ale ten gwałt na polskości wydaje się konieczny, niezbędny.

Gombrowicz zrezygnował z taryfy ulgowej, naszego do niedawna literackiego przywileju. Bohater opowiadania Mrożka *Moniza Clavier* na przyjęciu w Wenecji pokazuje nie naprawione przez dentystę i mocno przerzedzone zęby, szlochając: panie za ojczyznę wybili... Teraz, chcąc nie chcąc, musimy pójść do dentysty: skończył się przywilej, zaczęło się prawdziwe cierpienie – ze znieczuleniem bądź bez znieczulenia. I zapewne to drugie – bez znieczulenia – będą musieli pisarze, póki co, zaakceptować. A także śmiechem pokonać polskość cierpiętniczą.

¹⁸ Wszystkie cytaty pochodzą z książki W. Gombrowicza, *Trans-Atlantyk*, Kraków 1986, s. 5-7.

¹⁹ Por. E. Fiala, *Księga lęków polskich czyli „Trans-Atlantyk” Gombrowicza*, „Ruch Literacki” 1999, nr 5.

Trzecim pisarzem posiadającym silną świadomość polskiego kompleksu jest Tadeusz Konwicki. Nie tylko w powieści *Kompleks polski*, aczkolwiek tutaj mówi o tym wprost. I tak jak pisarstwo Gombrowicza jest nieustającym starciem pomiędzy ojczyzną i syncyzną, tak Konwicki zмага się z własną wyższością w PRL-owskiej niższości. Co, nawiasem mówiąc, Gombrowicza do złudzenia przypomina (mówi się zaś dzisiaj, i tutaj wątek dalszy się nam rozsnuwa, iż Konwicki to mistrz Pilcha, na co nawet sam Pilch skłonny jest się zgodzić).

Warstwy fabularne tej powieści odwołują się do polskich atrybutów europejskości w różnym ich natężeniu: groteski, ironii, dyskursywnego komentarza narratora, historii paradygmatycznej, czyli romantycznej. Bowiem w historię ludzkiej kolejki oczekującej w wieczór wigilijny przed sklepem jubilera na towar (złoto) wpisana jest mała powieść o jednym z epizodów powstania styczniowego, w nią zaś z kolei monolog autobiograficzny Tadzia Konwickiego, Europejczyka z Wilna. Jest też motyw, który wolno odnieść się do Apokalipsy (między masywem alei i spiczastą górą pałacu Kultury): „(...) ostrożnie, bez popłochu oglądam niebo. Jest wiele gwiazd. Skrzą się jak w dawnych wierszach. Dziś już gwiazdy tak się nie zachowują. Dlatego odczuwa jakiś dziwaczny niepokój, w tej przestrzeni nad przyczajonym miastem nadciąga noc osobliwa. Ale ta noc osobliwa mogła zwać niezidentyfikowany obiekt latający, w który nie wierzę, ale który unosi się nad Alejami i patrzy na niezrozumiałe miasto pośrodku Europy”²⁰.

Konwicki w innej swojej książce okazuje się sojusznikiem Porębskiego w jego propozycji „sytuacji polskości”, ale także europejskości jako przestrzeni wielu wartości i możliwości. W *Kalendarzu i klepsydry* czytamy:

„Bo chcę zostać taki, jaki narodziłem się w Nowej Wilejce. Chcę zostać Europejczykiem albo prawie Europejczykiem, jegomościem,

²⁰ T. Konwicki, *Kompleks polski*, Warszawa 1977, s. 125.

który uczył się łaciny i greki, chodził do gimnazjum, co miało świetne tradycje i dobrą orkiestrę, który sylabizował na książkach Curwooda i Marka Twaina, Amicisa i Courts-Mahlerowej, który zapamiętał na całe życie wiszące nad łóżkiem reprodukcje Rafaela i Bocklina, który wchłaniał kodeksy moralne i estetyczne z pism Żeromskiego i Celina, Prousta i Wodehousa, Tomasza Manna i markiza de Sade...²¹

Wydaje się, iż pod wymienione przez Konwickiego znaki europejskości da się podstawić ich odpowiedniki współczesne. Tyle, że będą one zmienne i krótkotrwałe: „czyta się” i „ogląda się” współcześnie w przyspieszonym tempie; to właśnie szybkość zmian staje na przeszkodzie w zbudowaniu kanonu według starych wzorów. Ale kogo się czyta w tych krótkich przedziałach czasowych? Umberto Eco i Derridę? Michela Houellebecqa i J. M. Coetzego? Elfriede Jelinek i Susan Sontag? Dorotę Masłowską i Jerzego Pilcha? Są to przypadkowo zestawione pary pisarskie, które na jakiś czas przywiązały do siebie wyobraźnię masowego czytelnika, ale przyczyny owego przywiązania są bardzo różne. Czy młody Europejczyk zawsze jako lektor był równie kapryśny jak dziś?

Czy posiadam zatem w zanadrzu jakieś rady dla pisarzy? Nie, dysponuję wyłącznie prognostycznym domniemaniem, które okazać się może zgoła fałszywe.

Poprzestanę na jednej tylko prognostycznej sugestii – widzę mianowicie szansę pisarską w odnowieniu i emocjonalnym nasyceniu tych polskich tematów, które już pogrzebano: tak stało się na przykład z mitologią małej ojczyzny. Oczywiście tamte, literacko do dna wykorzystane, nie nadają się do reanimacji: kresy, przedwojenne małe miasteczka, słowem, pamięć rodziców i dziadków pisarzy współczesnych wchodzących na rynek. W ich pamięci bowiem pozostały inne obrazy przeszłości: nazwano je nostalgią za PRL-em i może ta nostalgia za-

²¹ T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1976, s. 240.

sługuje na dzieło literackie (a sukces europejski filmu *Good bye Lenin* traktującego o życiu w NRD świadczyłby na korzyść takiego mniemania). Ale przecież pisarstwo nie polega na wspomnianiu. Niezbędna mu jest czysta podświadomość, niech nią będzie polskość, która nie jest ani kompleksem, ani cnotą, ani zasługą, ani fragmentem jakiegokolwiek dekalogu. Aby zaś nie pogрузić się do końca w ogólnikach: wyobrażam sobie polskiego pisarza współczesnego w Europie jako pisarza zdolnego. To bynajmniej nie żart. Ponad taryfą ulgową, o której pisał, warto przypomnieć, krytyk dzisiaj zapoznany, Artur Sandauer, rysuje się poziom talentu, sprytu rynkowego, wspierającego pisarza marketingu, a także szczęścia. Są to strategie, można o nich bez końca dyskutować, pamiętając jednakowoż o tym, iż nie są to już tylko strategie duchowe.

Ważne momenty dziejowe często stawiały przed literaturą zadania okolicznościowe: utrwalenia, odnotowania, przetworzenia, słowem, momentalnej refleksji; co zrozumiałe, była ona nade wszystko poetyckim przywilejem, bo wiersz pisze się szybciej. Dlatego, aby zakończyć te rozważania, zacytuję wiersz Pawła Marcinkiewicza *Rano w dzień wejścia do unii* (z tomu „*real*”, opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” w dniu 1 maja 2004):

Rano w dzień wejścia do Unii z kranu szła czarna woda.
 Blokom pękały płyty po całonocnych obchodach.
 Śmietnik przeżuwał worki i dyszał na wietrze
 Było jakby pochmurno, ale w sumie słonecznie

Ani żywej duszy – od Reala po Esso
 Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najemco
 VAT-owcu z naręczem struktur, Dotkomie, Gratisie
 Pies pana Gienka wyl pod klatką bo pieskie miał życie

.....
 Skończyło się oblężenie, a z nim prysło miasto:
 Złupiłeś je, Mega-Hardkorze; zżarłaś Media – Małpo

Pies pana Gienka przebiegł deptak i stanął przed sklepem
Gdzie pan Gienek brał na zeszyt ciepłych tyskich dziesięć.

O Unio, tyś błdziła po puszczy z suchym pyskiem

Kiedy myśmy tu w Polsce już warzyli tyskie.

Tuż potem pan Gienek z psem ruszyli do knajpy

Minęli cmentarz, którym płynęli do Unii zmarli

.....

O Unio, tyś jeździła zaprzęgami z Unry

Kiedy w Polsce maluchy grały nam jak surmy

Iskro blogów, tatarska matko Big-Brothera

Więc oto nas zdobyłaś: cóż, pora umierać.

Pan Gienek i jego pies wracali wreszcie Nach-Hause

Krokiem chwiejnym, lecz w sumie lekkim. Bloki niemalże

Zrzucały talerze w lędźwiowym rytmie hip-hopu

Pan Gienek kurzył, a pies wył przy znaku stopu.

Parking zachodził cieniem. Słup piasku gnał przez pola

Po co ci (gwieździsty orle) ta szara korona?

I wciąż był ten sam ranek. Dzień wejścia do Unii.

Pan Gienek pociągał z flaszki, bo inaczej nie umi.

Jeżeli wiersz może być wiarygodnym dowodem w sprawie światopoglądowej, to ten nim jest.

Można go interpretować w takim, to znaczy ideologizującym, kontekście, ze świadomością, iż został skonstruowany jako zbiór klisz dwójakiego rodzaju: stereotypowych i tradycyjnych oraz pochodzących z obszaru kultury masowej. W przedziale pierwszym odzywają się, sparafrasowane, głosy starych mistrzów. „W dzień końca świata pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji” (tak dzieje się w *Piosence o końcu świata*) – zmodernizowanym echem tej Miłoszowej frazy zdaje się być równie zwyczajny, ale pospolity dzień pana Gienka z blokowiska, który nie zawiesza swoich codziennych zatrudnień, mimo iż jakiś świat się

faktycznie kończy. „Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najemco” – echo klasycznej Herbertowskiej frazy odnoszącej się do dnia 19 września 1939 roku zapowiada również Herbertowski koniec oblężenia miasta; ale także unicestwienie etosowego miasta (z *Raportu z oblężonego miasta*). Zmarli płynący do Unii kojarzą się z wymownym tytułem książki Marii Janion: *Do Europy tak – ale z naszymi umartwymi*. Można by w tym miejscu zastanawiać się nad ideową opcją autora tego znakomitego wiersza – to mnie jednak nie obchodzi, więcej, nie uważam takiego działania za interpretacyjnie prawomocne.

Wiersz ten ukazuje natomiast nową przestrzeń wyobraźni, w której, niezależnie od europejskiego epizodu, przyjdzie działać współczesnemu poecie (jego bohater liryczny nie ma, jak się wydaje, polskiego kompleksu...). Chcąc nie chcąc, niezależnie od zmian politycznych, ekonomicznych, geograficznych, o tym, jakby powiedział wieszcz, będziecie musieli pisać, panowie. Polak-Europejczyk okazuje się dzieckiem Media-Małpy, podobny w tym właśnie do swoich braci w kulturze masowej, jak kontynent długi i szeroki.

* * *

PS Tekst ten został napisany w miesiącu formalnego wejścia Polski do Unii europejskiej (maj 2004) i nie został potem przerobiony, w paru tylko miejscach bibliograficznie uzupełniony. Dopisuję to wyjaśnienie z tego względu, iż nie uzurpuję sobie prawa do naukowego obiektywizmu. Ze stosów artykułów prasowych wybrane zostały te, które w jakimś sensie odpowiadały mojemu osobistemu postrzeganiu pewnego procesu i pewnego, powstającego dopiero, zarysu nowej mentalności polskiej, podporządkowanej europejskiemu rytowi. Zatem wolno uważać ten tekst za stronniczy i publicystyczny – zapewne tylko samo argumentów zwątpienia co aprobaty mogą wyliczyć jego przeciwnicy. Zanim bowiem owa paradygmatyczna struktura okrzepnie i zacznie się reprodukować w czasie – ten czas musi upłynąć. Być może paradygmat ów będzie miał życie krótkie – być może, jak romantyczny, okaże się długowieczny.